

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Pamiętajcie o ptaszkach.

Po przez pola i przez lany
Szumią wichry i tumany
Gęsty syjąc śnieg...
A lód w szkliste swe okowy
Chwycił lasy i dąbrowy,
Tonie wód i rzek.
Dziwnie smutno w całym świecie!
Tylko wichur śmiecia, miecie,
Głucho pusto tak...
Tylko gdzieś tam zabłąkany,
Przez te wichry i tumany,
Zwolna leci ptak.
Siadł na polu białym, gładkim,
Tam, gdzie niegdyś podostatkiem,
Ziarn i wody miał.
Lecz dziś próżno ziarenek szuka,
Próżno małym dziobkiem puka,
W lód twardszy od skał.
Puste lasy i doliny,
Nie ma żeru dla ptaszyny,
Wszędzie śnieg i lód...
Aż zmęczony, osowiały,
Padł na śniegu ptaszek mały,
Bo go zabił głód!
Biedny ptaszek... prawda dzieci?
Niejednemu z was iza leci,
Na śmierć straszną tak...

I niejednoby z was dało,
Ze śniadania częśćkę małą,
Byle ożył ptak.
Wszak on latem, miły Boże!
Tyle piosnek snuł nam może,
Nieprzerwany ciąg.
Lasy, góry i doliny,
Echem piosnek tej ptaszyny
Rozbrzmiewały w krąg.
A dziś... wiosna znów gdy wróci,
Już się ptaszek nie ocuci,
Nie zaśpiewa nam!
On się teraz z żalem, jękiem,
Skarży cichej pieśni dźwiękiem,
U niebieskich bram.
Dziatwo! wspomnij przy igraszkach,
O tych biednych małych ptaszkach,
Które dręczy głód —
I okruszkę chleba małą,
Rzuć zgłodniałym rączką białą
Na śnieg i na lód...
A ptaszyna wdzięczny, mały,
Za to, żeście mu nie dały
Skonać z głodu w mróz,
Będzie co dzień za was, dzieci,
Gdy ku niebu z piosnką wzleci,
Modlitwę swą niósł.

Wł. Bełza.



Gdzie Józek znalazł szczęście.

B A Ś Ń

Józek leżał na ziemi z rękoma pod głową założonemi i wpatrywał się w niebo. Dzień był prześliczny, niebo błękitne, poprzerywane białymi obłoczkami, zdala nadchodziła wieczorna zorza złota, niby świeżo wykute dukaty. Dokoła panowała zupełna cisza, przerywana jeno świerkaniem polnych świerszczy; macierzanka rozlewała miły zapach. Niedaleko chłopca pasła się srokata krówka, a ilekroć łbem poruszyła, odzywał się dzwonek, na jej karku zawieszony.

Józek miał modre oczy, jak bławatki, twarz, jako mak czerwony.

Leżąc, przyglądał się niebu błękitnemu i myślał o szczęściu. Majaczył o tem, by iść daleko, daleko i znaleźć wielkie szczęście.

Tam za polami stała niska chałupka, w niej mieszkała jego matka, ojciec i mała siostrzyczka, a w sąsiedniej izbie wdowa z synem Wackiem.

Z tej chaty wychodził Józek codziennie na pole, a będąc zdrow i szczęśliwy pracował za dwoje. Ale kiedy o zmroku pędził sroką na wygon, głowę jego przepelniały czarne, smutne myśli i niby nietoperze nie dawały mu spokoju. Nic mu się już nie podobało we wsi rodzinnej, nic mu nie smakowało. Wierzył, że gdyby znalazł szczęście, nie potrzebowałby wcale już pracować.

W jakich pięknych kolorach widział on to przyszłe szczęście, jak się ono do niego uśmiechało, błyszczało niby słońko?

Kiedy dziewczęta wiejskie, drąc pierze, lub przedząc, opowiadały o skarbach w ziemi ukrytych, Józkowi o mało serce z piersi nie wyskoczyło.

Gdy tak leżał na ziemi i dumał o szczęściu, zjawiała się przed nim nieznajoma staruszka. Zkąd się zjawiała ta kobieta, zkąd tutaj przyszła? Że ją też nogi uniosły tak daleko! Twarz miała pomarszczoną i żółtą, jak liść na jesieni; a taka chuda i drobna była, że gdyby się skuliła, można ją było w worek schować.

Józek spytał ją, dokąd idzie i czego ona chce.

— Nigdzie nie idę, niczego nie chcę, ale ty chcesz iść i pójdziesz — powiedziała mu staruszka.

Józek zdziwiony spojrzał na nią. Jakże ona może widzieć o jego pragnieniach?

— Zkąd mię znacie, babuniu? — zapytał Józek.

— Jakże cię nie mam znać, kiedy stałam u twojej kolebki, — zaśmiała się staruszka.

— A czegoż chcecie odemnie?

— Przyszłam pokazać ci drogę do szczęścia, — wyrzekła uroczyście staruszka.

Józek, gdy to posłyszał, o mało nie oszalał z radości. Wszystko dokoła kręciło mu się przed oczami, a serce waliło mu w piersi, jak młotem, słowem staruszki uwierzył od razu. Sroką pozostawił na polu i podążył za starowiną, która, o dziwo, szła tak prędko i lekko, jakby ją wiatr unosił.

Szli niedaleko, aż doszli do lasu, a ztąd do skały granitowej, obok której stał dąb stuletni. W cieniu dębu rosło mnóstwo paproci, a niżej płynął wązki strumyk.

Tam się zatrzymali.

— Idź — rzekła staruszka do Józka — daję ci krzemień z tego strumienia, który przepływa przez twoją wioskę rodzinną. Schowaj go dobrze. Jeślibyś zateśknął za rodziną, rzuć ten kamyczek po za siebie, wspomnij mnie, a wrócisz zaraz do domu, do tej samej biedy, z której cię teraz wyprowadziłam.

Józek obejrzał się wokoło. Zrobiło mu się ciężko i smutno na sercu. Spojrzał w oczy staruszki — były one takie dobre, spokojne; wpatrywał się w las, przepelniony w tej chwili czarowną wonią.

— A może nie pójść dalej i zostać tutaj? — myślał sobie. — Ale czyż nie warto iść po wielkie szczęście? — szeptał mu jakiś głos w duszy.

Starowina skinęła mu ręką, a skała rozwarła się natychmiast. Józek, przeszedłszy przez tę szczelinę, znalazł się znów w lesie sam jeden zupełnie, skała się zamknęła, a przed nim roztaczała się nieznana, ale przecudna kraina.

— Jakże tu pięknie — pomyślał chłopak, zasłaniając sobie ręką oczy, bo go olśnił dziwny blask słońca.

Był to już ranek.

Józek szedł wąską ścieżyną, skreślił na prawo i ujrzał ogromny zamek, biały jak śnieg.

— Tam pójde — zawołał.

Przed bramą stali czterej rycerze. Zobaczywszy Józka, wybiegli na jego spotkanie i powitali go temi słowy:

— Znajdujesz wielkie szczęście. Nasz pan umarł bezdzietnie, przed śmiercią rozkazał, żeby jego spadkobiercą został ten, kto pierwszy nadejdzie z północnych lasów. Tyś jest tym szczęśliwym. Oczekujemy cię oddawna. Witaj nam!

Józek wszedł do zamku.

W zamku niesłychany przepych go otoczył. Podłoga i ściany były z najpiękniejszego białego marmuru, wszędzie miękkie kobierce, złotem przetykane zasłony, rzeźbione sprzęty, zwierciadła w złotych ramach. Miły zapach rozchodził się w powietrzu.

Pokazano mu skarbiec, w którym było tyle złota, srebra i drogich kamieni, że załedwie oczom swoim wierzył. Obsługiwała go moc sług, poda-

wano mu na złotych misach takie jedzenie, o jakim nigdy nie marzył. Jednocześnie uczył, że przybyło mu w głowie tyle rozumu, iż potrafi być wielkim panem. Zmęczony, położył się na pięknym łożu, z puchową pościelą, pokrytem drogimi materyami. Przez całą noc snił o swoim niespodziewanym szczęściu.

Rano czekali na niego biedni ludzie z proźbami i wiele gości. Nie mógł nawet chwileczki odpocząć.

To był pierwszy cień w jego szczęściu.

Kiedy wieczorem wyszedł do ogrodu, gdzie kwitły piękne tereśnie, uczył w sercu jakiś ból, żal i tęsknotę. Ale wkrótce się uspokoił. Czemużby miał tęsknić otoczony wszystkim, czego tylko zapragnął.

Tak mijał dzień za dniem, a Józek wciąż się dowiadywał o jakimś kłamstwie, o kradzieży i to mu zatrawiało szczęście.

Myślał często o rodzicach, o drogiej siostrze Anusi, która zawsze była dla niego tak dobra, serdeczna.

Nie mógł już nigdy położyć się na murawie i gonić oczyma chmurki na niebie, bo zawsze otaczali go ludzie obcy.

— Co to jest właściwie szczęście? — myślał teraz często. — Bogactwo widać nie daje wcale szczęścia, bo on teraz czuł się daleko nieszczęśliwszym, niż w rodzinnej wiosce.

Bo i cóż mu tam brakowało. Nie miał tam nic, a jednak miał wszystko, gdyż otaczały go kochające serca, a praca była mu pociechą. Tutaj niby ma wszystko, a właściwie nic nie ma. Nikt go tak nie kocha, choć wielu udaje miłość dla niego. Dnie schodzą mu w próżniactwie, bo nie potrzebuje myśleć o tem, co będzie jadł. Nie robi nic, a nie ma ani jednej wolnej chwili dla siebie.

— W domu się napracowałem, to prawda — myślał Józek — ale wieczory były już moje. A jakże słodko pachniała ta zielona murawa pod dębem. Jak smaczny bywał żur z czarnym chlebem, świeże owoce z naszego ogródka. Jakże do serca płynęły piosenki Anusi...

Nieraz znów myślał:

— Ach, gdybym mógł choć ukradkiem zobaczyć, co się dzieje w naszej chacie, co bym ja za to dał!

Ale nie mógł nic dojrzeć, bo dom był daleko, bardzo daleko. I przychodziło mu teraz do głowy, że darmo poszedł tak daleko szukać szczęścia, ono jest blisko, w domu rodzinnym.

Sto razy miał już ochotę rzucić krzemik za siebie, lecz nie mógł się na to odważyć. Gdyby mu przynajmniej wolno było zabrać ztąd choć trochę złota. Ale staruszka powiedziała wyraźnie, że jeśli powróci, to taki biedny, jakim był przedtem. Józek pobrał, nie mu z jadała nie smakowało, nie cieszyły go konie, powozy, piękny ogród, nie radowały go ludzkie poklony i ich uda-

wana miłość. Tęsknił, strasznie tęsknił za swym domem. Rok już minął od czasu przybycia Józka do zamku. Miał, czego tylko zapragnął, a jednak pewnego wieczora rzucił po za siebie krzemik czarodziejski.

Zaledwie kamik upadł na ziemię, pociemniało mu w oczach i znalazł się cudownym sposobem przed skałą granitową, gdzie stoi dąb stuletni, bujnie paproć rośnie i strumień przepływa. Przed nim stała wróżka — staruszka. Staruszka uśmiechała się serdecznie, jeszcze pocziwiej niż wtedy, kiedy wyprowadzała Józka do lasu, przyrzekając mu szczęście.

— Czy wiesz teraz, co to jest szczęście? — zapytała.

— Wiem, wiem, babuniu — odpowiedział żywo. — Miałem je obok siebie, a znaleźć nie mogłem.

Staruszka skinęła ręką i zniknęła. Lasy szumiały, przez gestwinę przedzierały się promienie słońca, a Józek biegł co sił do domu.

Gdy ojciec i matka ściskali go w objęciach, a siostra na szyi zawisała, uczył się tak szczęśliwym, jak żaden książę na świecie.

Oszczędność drogą do mienia.

Było to w czasie, kiedy dobroczynny i światły Stanisław Jachowicz założył własnem staraniem w Warszawie na Nowym Świecie ochronę dla ubogich dzieci, która dziś mieści się w osobnym własnym domu, i wydaje dla kraju najpiękniejsze owoce.

Otóż, w owym to czasie zbawiennego wpływu rozchodzącego się z ochronki na rzemieślników i na ich warsztaty, dwaj młodzieńcy: szewczyk Grodzikiewicz i Józef, stolarczyk, rozpoczęli swój zawód. Józef, zwinny, żwawy, podobał się bogatemu panu, który mu podarował kapitał kilku tysięcy złotych, złożony w kasie oszczędności. Rozpoczął więc rzemiosło z pięknym zasobem w rękę; gdy tymczasem Grodzikiewicz bez grosza poszedł za czeladnika do biegłego majstra, a nie spodziewając się od nikogo, prócz Boga, od razu zaczął rachować na siebie i wprawiać się do cnót potrzebnych rzemieślnikowi. Pożywienie jego było liche, lecz suknia zawsze czysta, czoło pogodne, a usta powtarzały często to zdanie:

— Lepiej przecierpieć za młodu, kiedy są siły do znoszenia niewygód, byle na starość mieć kawałek chleba i własną chatę.

Tak mówił Grodzikiewicz, i przez twardą pracę, oszczędność, dążył do ulubionego celu posiadania kiedyś własnej strzechy i domowego szczęścia. Józef opatrzony od razu w pieniądze,

